NASZ WIDNOKRĄG
PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 1—2 Październik—Listopad 1935 Rok X

Pożytecznem jest, by rozpoczynając nowy okres pracy spojrzeć wstecz, przeglądając prace już dokonane oraz wytyczyć program działania na najbliższą przyszłość.

Kierując się tem, pragnę zrobić przegląd naszych zeszłorocznych prac,—stosunku młodzieży do swego pisma oraz wypełniania przez to pismo jego obowiązków obywatelskich, obowiązków wobec idei licealnych, szkoły i młodzieży.

Mam przed sobą rozłozone zeszłoroczne numery naszego pisma, postaram się wyciągnąć z nich pewne wnioski.

Ogólnie dała się zaobserwować jedna ważna zmiana, która przyczyniła się, że nasze pismo w roku zeszłym żyło intensywniejszem życiem niż w innych, — a mianowicie zwiększyła się bardzo liczba piszących. Jak bardzo liczba ta wzrosła świadczy fakt, iż wydając numer podwójny VII - VIII, stanęła redakcja przed taką sytuację, że ilość materjału nie mieściła się w normalnej, możliwie szerokiej a jeszcze kalkulującej się objętości. Redakcja wówczas, po szczegółowych obliczeniach wspólnie z administratorem zdołała poszerzyć numer z 32 str. do 42. Powodem wzrostu liczby piszących, było zwiększenie intensywności życia młodzieży, która dała się zaobserwować szczególnie w drugiej połowie jubileuszowego roku.

Skupienie organizacyjne młodzieży szkół licealnych w Centralnym Komitecie Wykonawczym Święta Licealnego, skoncentrowanie trosk i prac całej młodzieży wokół najgodniejszego uczczenia jubileuszu L. K. spowodowało, że młodzież cała poczuła się bardziej niż kiedykolwiek tworzącą jedną zwartą konstrukcję, że uświadomiła sobie, iż „Widnokrąg“ jest jej wspólnem pismem i najlepszym i jedynym terenem wymiany myśli.

Rozpatrując w dalszym ciągu stosunek młodzieży do swego pisma, redakcja z ogromną wdzięcznością podkreśla fakt próby z strony młodzieży wyjaśnienia stosunków między nią a pismem. Kol. Siemaszko zebrał w punktach zarzuty stawiane redakcji „Widnokręgu“ przez ogół młodzieży. Zarzuty

te zostały wydrukowane w 3-cim numerze pisma z prośbą o wypowiedzenie się szerszego ogółu młodzieży, co sądzi o naszem piśmie. Przy sposobności zaznaczam, że w tym celu redakcja projektuje tworzenie zebrań osób zainteresowanych naszem pismem. Krótkie sprawozdanie z pierwszego zebrania w roku bieżącym (rok temu odbyło się już podobne zebranie), kilka uwag i myśli na temat pisma będzie umieszczone w dalszych numerach „N W.“

Przystępując następnie do rozpatrywania stosunku pisma do jego obowiązków obywatelskich, licealnych i młodzieżowych, zacznę od krótkiego streszczenia myśli przewodniej całego roku i poszczególnych numerów. Najważniejszem zadaniem, jakie sobie redakcja postanowiła, było uczynienie „Widnokręgu“ pismem młodzieży wszystkich szkół licealnych i rzetelny udział jego w święcie L K.

Młodzież ze Szkoły Rolniczej w Białokrynicy pisywała już przedtem, lecz udział jej w numerach poszczególnych był jednak niewielki; młodzież szkoły smyskiej nie zaliczała się dotychczas do grona piszących, a nawet, prawdopodobnie, nie wiedziała o istnieniu „Naszego Widnokręgu.“

Postawiliśmy więc sobie cel w roku, tym świątecznym dla Liceum, wzbudzić większy napływ artykułów tak ze strony młodzieży Gimnazjum i Seminarjum, jak też białokrynickiej oraz uczynić młodzież smyską stałą współpracowniczką naszego pisma.

Pierwszym krokiem do celu było urządzenie w październiku r. ub. t. zw. „Żywej Gazetki“ lub „Rewji N. W.“, która miała na celu, poprzez żywe słowo, trafić do młodzieży i zwiększyć w niej potrzebę wymiany myśli. Rewję tę urządziliśmy w Sali Kolumnowej L. K. a powtórzyliśmy w Białokrynicy.

Mówiąc o młodzieży białokrynickiej, musimy tę zasługę jej oddać, że sama zreorganizowała swój komitet redakcyjny w tem sposób, że wskład niego wchodziło kilku członków z każdego kursu.

Redakcja ta zaczęła żywo pracować, czego dowodem jest wzrost liczby artykułów białokrynickich w drugiem półroczu oraz jeden numer wypełniony całkowicie przez młodzież Białokrynicy.

Do nawiązania kontaktu ze Smygą ogromnie przyczyniło się połączenie całej młodziaży w C.K.W., gdyż młodzież smyska żywiej się zainteresowała życiem wspólnem. licalnem i

sama zapragnęła bardziej się z niem związać. Po jednem z zebrań C.K.W., gdy kilka osób z redakcji wdało się w rozmowy ze Smyżanami, wypłynęła potrzeba i chęć ze strony młodzieży smyskiej wymiany słów z młodzieżą innych szkół L. K. Wobec tego prezydjum naszej redakcji pojechało do Smygi i dopomogło do zorganizowania tamtejszego komitetu, zaznajamiając jednocześnie ogół młodzieży szkoły rzemieślniczej z naszem pismem.

W numerze ostatnim (nie mówię o jubileuszowym, który był nadprogramowym) roku zeszłego pojawiło się kilka artykułów młodzieży smyskiej bardzo starannie opracowanych i świadczących o jej rzetelnej postawie wobec swej szkoły, zawodu i obywatelskich zadań.

Wobec wyjątkowości roku zeszłego „Nasz Widnokrąg“, jak każda organizacja i klasa podjął się spełnienia pewnej pracy przyczyniającej się do uczczenia 15-lecia Liceum.—W dwu numerach umieszczone zostały historje wszystkich organizacyj młodzieży licealnej, — a więc organizacyj istniejących na terenie szkół krzemienieckich jak i szkoły białokrynickiej i smyskiej.

Po wydaniu ośmiu numerów (stała coroczna liczba), redakcja podjęła się opracowania jubileuszowego numeru, którego konta pokryło Liceum. Numer ten został poświęcony zawodom z Rydzyną, Świętu Wiosny, przedstawieniu „Romana i dziewiętnastu“, poświęceniu naszego sztandaru, — wogóle całości Święta Licealnego. Znalazł się w nim także krótki artykuł wychowanki Uniwersytetu Ludowego w Michałówce, mówiący o wrażeniach i przeżyciach jej, jako widza i uczestnika Święta Licealnego.

Numer ten, zawierający przegląd święta, które było klamrę zamykającą okres 15-tu lat pracy, święta, które poziomem swym świadczyło o wysiłku włożonym w jego zorganizowanie, o uczuciowym stosunku młodzieży do Liceum, dedykowaliśmy Marszałkowi Piłsudskiemu jako wyraz hołdu naszego dla Zmarłego Wskrzesiciela Liceum i Wodza Narodu.

Poszczególne numery posiadały swoje specjalne idee przewodnie, a więc, — pierwszy i drugi numer był poświęcony kwestji grasującej w Krzemieńcu i okolicy epidemji czerwonki, a wraz z tem, kwestji walki z nią, poziomu kultury ludności tutejszej i ustosunkowania się władz wobec epidemji. Numer trzeci był poświęcony sprawie corocznych wyjazdów młodzieży

szkół krzemienieckich w powiat z obchodami Święta 11-go listopada, użyteczności tych wyjazdów tak dla młodzieży, jak i ludności wiejskiej, oraz kwestji uczynienia ich naprawdę celowemi.

Kończąc przegląd roku zeszłego, mogę stwierdzić, że rok ten zaliczyć można do najpiękniejszych lat „N. W.“

Przyczyną tego było niewątpliwie w wysokim stopniu Święto Licealne, które spowodowało wzmocnienie tętna życia na wszystkich terenach prac młodzieży licealnej.

Początek roku obecnego jest jednak nieco smutniejszym niżby się można było spodziewać, gdyż przyniósł nam opóźnienie wydania pierwszego numeru. Na marginesie zwracam uwagę, że jest to zjawisko coroczne. Nie zaprzeczam, że może być w tem wina samej redakcji, lecz nikt mi również nie zaprzeczy, że trudno wydać numer nie posiadając odpowiedniej ilości artykułów. Szczególnie mocno ta kwestja wypłynęła w roku bieżącym, gdy pomimo ogłaszania dwukrotnego afiszem i ustnego przez wójtów każdej klasie, artykułów na konkurs „N. W.“ poświęcony wycieczkom klasowym, lub ferjom letnim, ze starszych klas gimnazjum, seminarjum, pedagogjum i szkoły rolniczej w Białokrynicy nadpłynęło tylko trzy (w nawiasie zaznaczam, że już grubo po terminie). Kwestję tę poruszyłam mimochodem, gdyż sądzę, że jeszcze nieraz będzie się na jej temat i inne podobne rozmawiało na zebraniach sympatyków „Naszego Widnokręgu“.

Obecnie, przystępując do wykreślenia planu pracy na rok bieżący, powiem o wyjątkowości tego roku dla „Naszego Widnokręgu“. — Oto w roku bieżącym obchodzi pismo nasze dziesięciolecie swego istnienia. Z tego względu pragniemy rok ten uczcić rozważaniami nad historją „Widnokręgu“, oraz prawdziwą całoroczną współpracą młodzieży wszystkich szkół licealnych na terenie swego pisma. Zwracam się do młodzieży z gorącym apelem, aby potrafiła w tym roku wykazać swój rzetelny stosunek do zjawisk swego życia gromadzkiego, jakiem jest, między innemi, wspólne pismo.

Fakt istnienia w ciągu dziesięciu lat tego pisma świadczy, jak wiele trudów, myśli i uczucia włożone było w wydawanie go. W tym dziesiątym roku istnienia powinniśmy podwoić swój wysiłek, okazać szacunek dla prac już poczynionych i zapał do tworzenia coraz większych wartości i wzbogacania życia naszego i nas samych.

Pragniemy w roku bieżącym umocnić więzy, łączące młodzież wszystkich szkół L. K. Pragniemy, aby poprzez „N W." zostały załagodzone gorycze i żale. istniejące bezwątpienia między szkołami niekrzemienieckiemi a krzemienieckiemi.

Następny numer poświęcony wyjazdom 11-o listopadowym ma na celu wspólne rozważenie celowości tych wyjazdów. Lata uprzednie. uprzednie zastanawiania się powinniśmy traktować jako materjał, który obecnie nam, posiadającym już pewne doświadczenie, może dopomóc do wyciągnięcia wielu wniosków.

Numer ten poświęcony będzie głosom młodzieży na ten temat, oraz wywiadom listownym z ludnością wsi. do których klasy w dniu tym wyjeżdżały.

Jeden z numerów poświęcony będzie historji kończącego się seminarium, podkreśleniu wartości jakie ono wnosiło w życie całej młodzieży.

Charakter poszczególnych numerów zależny jest od biegu życia naszego, i trudno nam na tem miejscu mówić z osobna o każdym numerze.

Jedno jest pewnem. że będziemy się jak najczęściej i najściślej komunikowali z ogółem młodzieży drogą zebrań kolegów interesujących się naszem pismem i że liczymy bardzo na współpracę młodzieży, na jej pomoc radami i pracą w podnoszeniu na coraz wyższy poziom naszego pisma.

J. Sułkowska kl. VIII.
Przewodnicząca Komitetu Redakcyjnego

KONKURS „NASZEGO WIDNOKRĘGU"

W październiku bieżącego roku redakcja „Naszego Widnokręgu" ogłosiła konkurs na artykuł z wakacyj lub wycieczki.

Zgłoszono razem 13 prac. — wtem 3 z klas najstarszych i 10 z najmłodszych. Klasy pośrednie udziału zupełnie nie wzięły.

Spółdzielnia uczniowska „Prąd" przeznaczyła na nagrody zł. 20. kwotę tę podzielono w sposób podany niżej:

Komisja sędziowska w składzie nast.: p. prof. K. H. Groszyński, kol Sułkowska — kl. VIII. kol. Niepokulczycka — kl. IIb, kol. Motyka — kurs II leśny. (Białokrynica), kol. Liżewski — kurs V sem. rozpatrzyła prace nadesłane i uchwaliła:

1. Przyznać dwie nagrody:

Pierwszą w postaci bezpłatnej prenumeraty „N. W.“ i 10 zł. kol. Chrzanowskiemu (II leśny) za pracę p. t. „Spotkanie“ podpisaną pseudonimem „Axel“.

Drugą w postaci bezpł. prenumeraty „N.W.“ i 5 zł. kol. J. K. Siemaszce (V k. sem.) za pracę p. t. „Impresja“. — — oraz obie prace wydrukować

2. Wyróżnić trzy prace uczniów kl. I A: kol. Raicha za pracę podpisaną pseudonimem „Jastrząb“, kol. Danuty Szubiakowskiej za pracę p. t. „Na swobodzie“ oraz kol. Wł. Sheybala za pracę p. t. „Miłe przedpołudnie w Krakowie“ podpisaną pseudonimem „Ladis“.

3. Oceniając liczny udział w konkursie kl. I A przyznać tej klasie bezpłatną prenumeratę „N.W.“ w bieżącym r. szk.

Opiekun (—) K. H. Groszyński

Przew. Komisji i Komit. Red. (—) J. Sułkowska.

SPOTKANIE*)

Dziwne było nasze spotkanie i zgoła nieoczekiwane albowiem zdawało mi się, że byłem sam na tej pustej i dużej rzece. Sam, bo szukałem samotności, czekając kiedy zrodzi się we mnie lęk czy strach podczas nocy ciemnych, spędzanych na bezmiarze wód, nocą tak samo ciemnych i zimnych jak noc. Od iluś tam dni żyłem na tej wodzie.

Zmęczony dniem, śpiąc na lesistym brzegu, żyjąc byle czem, — raz jakąś rybą złapaną o świcie w znajomych miejscach rzeki, to znów wrażeniami fantazji, cudami przyrody, lecząc nadwyrężone siły — pokochałem wolność. —

Nie wiem czy była to środa, czwartek, czy niedziela. wiem tylko, że w chmurną mglistość poranku popłynąłem z prądem rzeki. Woda pociemniała od szarości dnia chlupotała drobną falą, uderzała o brzegi, — szemrała wieczyście niezadowolona, wieczyście śpiesząca... Kołysała monotonnie cudownie piękne nenufary, aż pochyliły głowy kwiatem brzemienne w stronę niedalekiego brzegu.

W zatokach, w owych wklęśnięciach brzegowych, gdzie jeno trzciny, tatarak i dziwna marchwica rośnie, wyprawiała harce, — chwiała niemi, by uderzały o siebie w szeleście su-

*) Praca odznaczona na konkursie „N. W.“ pierwszą nagrodą.

chym, szorstkim. Wiatr porywał ten szelest i niósł, niósł daleko jak dziwną pieśń... Pienistą śliną fal, leniwych i opornych pluła w nadbrzeża na wydmy piaszczyste, na źdźbła traw — drżących za lada podmuchem. Łódką moją — wąską, wywrotną o jednem wiośle lawirowałem koło brzegów. Raz, gdy byłem zmęczony, tem dziwnem zmęczeniem fizycznem od niewygodnego siedzenia i wiosłowania, płynąłem pod lesistym stromym brzegiem. Woda płynęła tu głębokiem korytem, pełnem jam, wartko i burzliwe. Niosła moją łódkę szybko, uderzając ostro o burtę, kołysząc na wirowiskach. Czasami z okapu starych dębin spadła mi na twarz kropla żywej rosy — chłodna, rzeźka... To znowu płynąłem tamtym brzegiem niewymownie smutnym.

Rozciągały się tu kwieciste łąki szerokim niskim krajem. Ciemne, kłębiaste, deszczowe chmury leżały cieniem ponurym na tych barwnych letnich kwiatach, na zapachach i woniach bujnych, za któremi można tęsknić, tęsknić. Ukryte w nich koniki, świerszcze polne grały melodje swoje napoły smętne, napoły rzewne. rozległe jak te łąki. Mogłeś ich słuchać nie pragnąc nic więcej.

Płynąłem z zadumie niespokojnej — spodziewałem się czegoś.

W drodze mojej spotkałem na wysokim maszcie sygnał ostrzegawczy, flagę czerwoną jak krew z żółtym krzyżem, oznaczającą manewry floty rzecznej. Coś mię pchało do niej choć nie tęskniłem do ludzi. Rybaków tej rzeki wysokich, chudych chłopów wiecznie milczących, zarosłych i brudnych, mijałem z daleka, rzadko ich zresztą widząc. Czerwona flaga przyniosła mi jakieś dalekie wspomnienie. Czekałem na nie, na przypomnienie ...

Popołudnie było tak samo ponure jak ranek. Z zakrętu rzeki zobaczyłem wysokie maszty, kominy statków i wreszcie ich kadłuby. Stały przycumowane do brzegu jeden za drugim. Na przedzie monitory wraz ze statkiem komandora-dowódcy pod niebieską flagą z białem kołem. Wrzał na nich ruch. Marynarze myli pokłady, prali bieliznę, inni na brzegu grali w piłkę. Przybiłem do brzegu. Ukryłem wiosło w trzcinach i począłem iść ku statkom z ciekawością w twarzy, trochę chwiejnie na zdrętwiałych długą bezczynnością nogach.

Zacząłem błogosławić tę chwilę, bo tam na pokładzie w stuku wielu kroków rozróżniłem kroki mojego przyjaciela —

brata. Wreszcie jego samego, tę dużą silną postać, która nie raz obroniła mię przed napaścia. Nie byłem zdziwiony jego widokiem, tylko w sercu coś tak uderzyło ciepłem. Chciałem ku niemu krzyknąć, biec na pokład, ale tylko ręką kiwnąłem. bo język odmówił mi posłuszeństwa. Zobaczył, szepnął coś bosmanowi na ucho i przybiegł. Stałem oczarowany tą chwilą. Przez pewien czas patrzyliśmy sobie w oczy długo, serdecznie, nie mówiąc nic. Dopiero po pewnym czasie przywitaliśmy się uściskiem, braterskim pocałunkiem. Na niedalekiej wydmie piaszczystej usiedliśmy, patrząc na stalowej barwy rzekę u stóp płynącą. Siedziałem przy nim i nie mogłem pogodzić się z tem, że ten człowiek w ubraniu z żaglowego płótna, w ciężkich podkutych butach to on Romek, brat — towarzysz z tamtych charbińskich i białostockich czasów. Poprostu nie do uwierzenia, że to on.

Zaczęliśmy sobie mówić, opowiadać nasze przeżycia, myśli, przypominać tamte czasy, gdyśmy chodzili ramię w ramię, spali przy sobie, razem uczyli się. Nie byliśmy zdziwieni dzisiejszym dniem, dzisiejszem spotkaniem. Mówił mi, że spodziewał się spotkać mię na tej rzece, że to musiało się stać — nieodmienną wolą losu, że gdy płynęli na manewry to patrzył na brzegi, na wodę — za mną. Dziękowałem mu za to. Nic w naszej rozmowie nie było nieszczerem, krępującem i szablonowem. Gawędziliśmy o wszystkiem naszem, wspólnem, najbardziej wzniosłem i najbardziej prozaicznem. Spytałem go, czy pamięta ów dzień.

Jechaliśmy do Białegostoku powozem. Jesienią to było. Przed nami leżało na zboczu wzgórza miasto w oponę czarnych dymów i mgłę jesienną spowite. Widać było czerwone, już oświetlone gmachy fabryk, złocone krzyże na kopułach starej cerkwi, wystrzeliste wieże kościoła i — dachy, dachy, dymiące kominy. Dojeżdżaliśmy do brudnych przedmieść drogą wyboistą i pełną błota. Na polach wśród kup nawozu, śmiecia, wszelakich odpadków miasta tu wywożonych, olbrzymie stada wron grzebały, wywlekały jakieś strzępy szmat, kości — krakały. Na przedmieściu konie zwolniły. Pamiętam te domki, chałupy, baraki, osiadłe nad śmierdzącym kanałem, którym wciąż płyną wydzieliny miasta i fabryk, i te nagie, smutne, jesienne drzewa. Pamiętasz grupki ludzi, robotników, kobiet i dzieci nędznie odzianych, ciągle spieszących się, żyjących w całej gmatwaninie gwizdów i dzwonków fabrycznych. Widzia-

łeś te dzieci wychudzone, dziwnie ciche, od urodzenia głodne i smutne. Patrzyli na nas. jak jechaliśmy wygodnie, napoły wrogo, napoły obojętnie. Błoto z pod kół, owe rzadkie, ohydne błoto. pryskało na nich. Nie wycierali tych śladów, przywykli do tego, że cały świat, przejeżdżający tędy bryzga im w twarz błotem — i nie zatroszczy się o to. Zrodziły się wtedy w mem sercu dziwne myśli — uczucia. Milczałeś, gdy konie leniwie ciągnęły pod górę powóz. jakiś robotnik, — sądząc z ubrania. poprosił żebyśmy go podwieźli do miasta. Pamiętasz, te jego oczy — dziwne oczy, które na nas podniósł z prośbą. Zadrzeliśmy. Oczy ludzi, których tu spotykaliśmy, miały niezatarte piętno swych sfer, swych trosk, bolów i nędz. A te oczy były dziwnie samotne. obojętne w tym tłumie, — oczy o kolorze głębokiej wody, lub dalekim błękicie nieba — szczere i czyste.

Powiedziałem: — proszę. Wsiadł. Zapadał mrok.

Napomknąłeś niby to mnie o Shelley'u. Nieznajomy zapalił się. Zaczął cytować w gęstniejący mrok z dziwną tęsknotą w głosie — niezrównane w świecie wiersze. Przerwałeś mu innem zapytaniem niezadowolony. Przekonałeś się wtedy o jego wiedzy, pracy w fabryce, pracy społecznej — wszystko ci powiedział. Wszystkiem Ci zaimponował ten robotnik. Pamiętam jak później, gdy wysiadł pożegnałeś się z nim serdecznie. a jeszcze później w sekrecie przede mną wyskrobałeś na dzwiczkach powozu, stary rodowy swój herb — Leliwę. Umilkłem na chwilę. Chciałem coś jeszcze rzec, przypomnieć — ale nie mogłem przerwać mu zadumy. Na twarzy błąkały mu się dziwne cienie. Dopiero dzwon targany silną ręką na statku, dzwon na zbiórkę poderwał go z miejsca. Z twarzy znikła zaduma, prawie surowo zepewnił mię, że nie może już dłużej zostać. Pożegnaliśmy się. Powiedziałem mu jeszcze żeby pisał, pisał tembardziej. że jedzie na morze, tam służyć, żeby naśladował tego genjalnego pisarza — marynarza z „Satny". Uśmiechnał się. Z tym uśmiechem odszedł. Stałem na wydmie i patrzyłem jak schodził z niej, biegł, jak tupotały jego ciężkie buty na grubej blasze pomostu. Jeszcze obejżał się i kiwnął ręką. Już go niema. Przetarłem oczy... Późną nocą płynąłem ku domowi.

„Axel" II leśny.

IMPRESJA*)

Malujemy! Wycieczka — obraz. Wrażenia — plamy barwne. Centrum obrazu Kraków — Wawel.

Namalowany obraz wieszamy w duszy. Na kołeczku. Mamy tam jeszcze inne. Czasem zrobimy generalny przegląd. Czasem kogoś będziemy oprowadzać po naszej skarbnicy i powiemy: — „Ten się udał.. tamten.. a ten, widzisz przyjacielu, to przełomowy. Z przed wielu lat. Zawsze jest mi żywotny“...

Bo pomyśl..

Szkolne czasy. Gębę miało się roześmianą, pustkę w kieszeni, dziury w butach. To wszystko bogactwo brało się ze sobą i dalejże w podróż. Na wycieczkę...

Węzeł gordyjski spraw pozostałych do załatwienia rozwiązywało się wmig. Ani nie spotrzegłeś się, kiedy skołatana głowa kołatała o ścianę wagonu. Koła turkotały, lokomotywa sapała, świat i ciemności uciekały w tył, po zakamarkach duszy błąkało się pytanie: „Jak to będzie wyglądało?“..

Kraków. Miasto, którego historję chce się czytać jak książeczkę do nabożeństwa, przyjęło nas zielonością. Drzewa, drzewa, drzewa...

Zwiedzamy go nad wieczorem. Oglądamy kamienice, kościoły, klasztory, podwórce z arkadami — robimy podkład. To plamy na obrazie te właśnie, które podkreślają rzeczy główne. Dają im moc wyrażania...

Ta pierwsza plama o tonie spokojnym a wzniosłym, smutnym a majestatycznym — Wawel.

W podziemiach leży On... Śmierć, nam młodym, zbliżyła Go. Życie — ukryło w Sulejówku, Belwederze. Mieliśmy stanąć koło Niego bliziutko i spojrzeć. Jak na matkę, ojca.

Widzisz, — starsi byli szczęśliwsi. Niewszyscy może docenili, co to znaczy widzieć Człowieka.

Opowiadał mi jeden szofer, że w czasie wojny przewiózł Go autem. Inni widzieli, jak szedł, zwyczajnie, piechotą z Belwederu do ministerstwa. To przecież szła Polska. A my tylko widzieliśmy mapę. Widzieliśmy ładne wyrysowane granice...

Zeszliśmy w dół...

Chłód murów. A może chłód tych, którzy Mu go nie szczędzili za życia? —

Sztandar u stóp. — Zmaterjalizowany honor Narodu. —

*) Praca odznaczona na konkursie „N. W.“ drugą nagrodą.

Koło ścian grobowce: Poniatowskiego, Kościuszki. Wielcy ludzie. Dziś: akademje, monografje, litery w podręcznikach historji, ocenianie „z punktu widzenia ówczesnego położenia“. —

A On? — to przeszłość — przyszłość — fakt — życie. — Wyszliśmy.

Mijaliśmy twarze ludzi zmęczonych, zmarnowanych, znaczonych bliznami. Ci ludzie przejechali, przeszli setki kilometrów. Po to, aby Go zobaczyć. Przekonać się, że naprawdę ciało martwe... —

— Czy kiedyś dwa pokolenia zrozumiały się lepiej jak tam, nad trumną?—

J. K. Siemaszko kurs V Seminarjum.

WRAŻENIE Z PRAKTYKI PEDAGOGICZNEJ

1. Wstęp: W myśl hasła: zbliż się do swego warsztatu pracy! wyruszyliśmy dn. 10.X r. b. na tygodniową praktykę pedagogiczną. Odgrywaliśmy w ciągu niej skromną tylko rolę hospitantów. Celem naszym był Wiśniowiec — jako kwatera główna. Ztąd codzień robiliśmy wypady do okolicznych szkół wiejskich (Narutowicze, Wola Korybutowiecka, Bodaki, Łozy)

W dzień przyjazdu, wieczorem wydaliśmy w Wiśniowcu wieczór artystyczny: chóry: żeński, męski, mieszany i inscenizacje.

Następne dnie to praca. Konferencje. Snucie refleksyj w pięknym parku zamkowym.

2. R. w. Uśmiech. „Ach niemasz, jak nauczycielski stan“ śpiewają i mówią ludzie, widząc człowieka, który ma wakacje podobnie, jak „sztubak“.

Wiśniowiec. 8 godzin hospitacji na lekcjach — ciężkiej i żmudnej pracy. Nauczyciele zawsze jednak śmiejący się. Wsie. Rzecz dziwna: — to samo.

Siedzimy w klasie. Szkoła niżej zorganizowana. Nauczyciel pracuje na dwie zmiany w klasach łączonych: III i IV, I i II-ge. Widzimy dzieci nieśmiałe, zahukane i jak się to mówi fachowo: brudne. Widzimy przed niemi nauczyciela, który chce ich nauczyć, że „dwa ołówki, więcej trzy ołówki, to jest pięć ołówków“, który chce z nich za wszelką cenę wydobyć istniejące, ale głęboko ukryte zainteresowanie. Nauczyciel stara się je obudzić, nadać mu pewne właściwe formy. Dzieci chce rozruszać, ośmielić, a mówiąc krótko „rozkręcić“ i zbliżyć do

siebie. Czemże to zrobi? — łagodnem słowem i uśmiechem. Pogodnym uśmiechem.

Konferencja. Dyskusja. Pytania. Nauczyciel udziela odpowiedzi. — Warunki pracy? — W zasadzie trudne. Brak książek, zeszytów utrudnia pracę. Dzieci nie mogą się na nie zdobyć, bo skąd? — „Nam ojciec codzień wydziela po kawałku chleba. Więcej dostać nie można"

— Środki zaradcze? — Wieś pracuje i stara się zło usunąć. Koła młodzieży są inicjatorami zarówno pracy oświatowej jak i zarobkowej. Robią kosze — sprzedają. Ciekawi jesteśmy, jak się przedstawia współżycie ludności polskiej i ukraińskiej. Przeważnie otrzymujemy odpowiedzi pozytywne, lecz nie wszędzie.

— Osadnicy stronią od ludności tutejszej. Nie starają się o żadną współpracę, a nawet starają się wyodrębnić. Fakt smutny i bardzo poważny, gdy mówi się zawsze o jedności, o wspólności interesów wszystkich obywateli. Przed nauczycielem stoi nowy problem. Nie może się on ograniczyć tylko do uczenia dzieci, do kierowania rozwojem młodzieży wiejskiej. Będąc doradcą ludności starszej w wielu sprawach, musi stać się także ich „nauczycielem". Nauczyć ich musi im wytłumaczyć czem jest współżycie. Jaką rolę spełnia w twórczem życiu gromady. Nauczyciel musi szukać dróg, które doprowadzą obie strony do zrozumienia, że są tymi samymi ludźmi i że sprawy jednych obchodzić muszą też drugich, bo są temi samemi sprawami, które i ich zajmują.

Nauczyciel mówi o tem i uśmiecha się. Ktoś powiedziałby, że wpadł poprostu „w trans", śmiejąc się przez pięć godzin dziennie do dzieci.

Sądzę, że tak nie jest. Uśmiech wywołuje u niego myśl pracy, której już podjął i tej, której podjąć musi, wskazanej przez życie. Uśmiecha się do wyników, które otrzymał i które otrzyma dzięki swej woli i poczuciu wielkiej odpowiedzialności przyjętej na siebie.

3. Zakończenie. Dnie spędzone w terenie przyniosły nam wiele korzyści. Poznaliśmy szkoły, warunki pracy. Za kilka miesięcy idziemy w świat żegnani przez profesorów i wychowawców serdecznem: „Szczęść Boże!."

Szkoła przygotowuje nas do pracy, daje pewne wytyczne jej i wskaźniki. Przekonaliśmy się jednak, że praktyka życiowa wykazać może nam jeszcze więcej problemów i zagadnień,

które rozwiązać trzeba koniecznie. Na to musimy być przygotowani i podobny wypadek nie może być uderzeniem obuchem w głowę, ani też takim, który można ominąć z uśmiechem innym — beztroskim.

Br. Liżewski V kurs Sem.

KSIĘŻYCOWA BALLADA.

Nikt nie wiedział:
Dziś wieczorem
narodził się księżyc młody
i nęcony taflą stawu
jasnym cieniem spłynął w wodę.

Zagwarzyły, szeleściły
suche trzciny, rokiciny.
Do wody się pochyliły
na księżyca narodziny.

Legł rogami księżyc w piasku
w wodorosty oplątany,
rozmarzony cicho zasnął
nenufarem kołysany.

Fale wiatrem rozhuśtane
bulgotały, pluskotały
Do gwiazd lśniących roześmiane
o brzegi się obijały.

Nikt nie wiedział:
a tej nocy,
narodził się księżyc młody
i nęcony taflą stawu
usnął cicho na dnie wody.

B. Liżewski V kurs Sem.

JESTEM CICHY...

Jestem cichy radością, jak lato
I szczęśliwy pogodą na niebie.
W jarzębinach dojrzałych czerwienią
Pośród kiści szukam sam siebie.

Roztańczyły się w słońcu dziewanny,
Łąki pieśnią zagrały pastuszą.
Wyciągając na trawie ramiona
Wśród łopuchów odkryłem swą duszę.

Bronisław Liżewski V kurs Sem.

NASZA WYCIECZKA NA ŚLĄSK

Kominy, bloki gmachów, jarzące się okna fabryk, szczęk, hałas, ruch, mgły, dym — to Górny Śląsk Takim oglądaliśmy Śląsk przez okna wagonów, gdyśmy mijali miasta i osady fabryczne.

Nazajutrz po naszym przyjeździe do Katowic, miasto powitało nas słonecznym rankiem. Katowice, widziane z naszego schroniska, najeżone były kominami fabrycznemi, spowite w dymie, który grubą warstwą wisiał nad dachami. Zdawało się nam, że tam, w centrum miasta niema czem oddychać. Zewsząd rozlegał się gwizd syren, dolatywał stuk młotów, szczęk żelaza.

* *
*

Królewska Huta. Wchodzimy na podwórze fabryczne, z którego wyrastają cztery olbrzymie kominy. Co za huk, szum, gwar, — walą młoty, jęczy żelazo, miesza się z tem gwar robotników, krzyki przełożonych, sygnały fabryczne. Wokół sieć torów, po których pędzą wagonetki, parowozy małego typu, a wszystko to obładowane węglem, żelazem, rudą lub żużlem; dym, swąd i sadza. W górze spokojnie chodzą ogromne dźwigi, zaopatrzone w elektromagnesy, które unoszą bryły żelaza wielkości metra sześciennego a może i większe. Tu leżą stosy rudy żelaza, ówdzie węgla, tam jakieś półsurowce, a tuż obok stoją rzędem wózki, dyszące gorącem jeszcze żelazem.

Tu „nie wolno", tędy „nie przechodzić", — tam „zejść z drogi", — i jak tu się zorjentować w tym zgiełku i ruchu? Na szczęście prowadzi nas pewien inżynier.

Wchodzimy do jednej z potężnych hal, jest to walcownia drutów. Trafiliśmy na moment najgorętszej pracy. Z pieca wysuwa się rozżarzona do białości sztaba żelazna, którą niemiłosiernie gniotą walce. Sztaba z jękiem i warczeniem przeciska się przez wąski otwór, z którego wychodzi dwa razy cieńsza. Robotnicy czarni, spotniali, z szaloną zręcznością uwijają się przy pracy, która zewsząd grozi śmiercią lub kalectwem. Wyglądają jak duchy w piekle. Ich ciała muskularne błyszczą w

ogniu, pot leje się z wykrzywionych wysiłkiem i gorącem twarzy. Wszystko tu idzie jak w zegarku, niema czasu do stracenia.

Przechodzimy do hali, w której wyrabiają koła do wagonów, gdzie robotnik kieruje kilkotonnowym młotem elektrycznym z wprawą, godną podziwu, gdyż ruchem tego młota potrafi zdjąć bibułkę z zegarka, leżącego na kowadle, nie tłukąc szkiełka.

Znajdujemy się koło olbrzymiego pieca, w którym przetapia się rudę. Piec ten jest czynny dzień i noc od 1918 roku. Byliśmy obecni przy wylewaniu żelaza z tego pieca. Żelazo gwałtownie wylewa się ognistym strumieniem, rozżarzonym do do białości i płynie długiemi korytami

Wracamy już, lecz w uszach mamy wciąż jeszcze zgiełk fabryki, przed oczami spotniałe i błyszczące muskularne ciała robotników, a w sercach uznanie i wdzięczność dla tych ludzi ciężkiej pracy.

* *
*

Oświetlona i gwarna aula. Na stołach, wśród smacznych rzeczy stoją kwiaty w garnkach wołyńskich. Wokół roześmiane i życzliwe twarze młodzieży śląskiej, która urządziła z okazji naszego przyjazdu bankiet.

,W czasie kolacji słuchaliśmy opowiadań o Śląsku, Ślązakach ich legendach i obyczajach. Nasza nieliczna klasa wsiąkła między setkę młodziezy śląskiej, opowiadając jej o Wołyniu, Krzemieńcu i Liceum. Nasze gościnne koleżanki śląskie w bardzo umiejętny i miły sposób przedstawiły nam swą dzielnicę. Poznaliśmy charakter Ślązaka, który pod pozorną szorstkością ukrywa złote serce.

Charakter Ślązaka określiła jedna z koleżanek katowickich w ten sposób: Ślązak jest jak węgiel, który dobywa. Aby węgiel dostać, trzeba najpierw zdjąć skorupę ziemi; tak i Ślązak pod skorupą szorstkości ukrywa w sobie gorące serce, przepojone miłością dla kraju i ludzi.

Młodzież Śląska jest świadoma swego trudnego zadania i posterunku na zachodzie, i z tem większą sympatją zwracała się do nas jako ich przeciwległej placówki. Zawiązała się między nami a nimi szczera przyjaźń i z żalem opuściliśmy ziemię śląską.

B. Leśniewicz kl. VIII

SŁOWO.

Jak wonne sosnowe drzewo,
pojone żywicy więźbą,
wystrzela ku niebu słowo
wiersza zieloną gałęzią...

Rośnie — wspaniałe, bujne,
do mózgu korzeniem wparte,
pod kory brunatną runią
sącząc żywicy prawdę...

Złotokłującem igliwiem
liter, opiena błękit...
Leśnie, puszyście kwili,
jak ptak chwycony do ręki...

Aż z lasu żywicznych stronic,
siekiery podstępnym ciosem,
czytelniku — wytniesz,
najpiękniejszą z moich sosen...

Zygmunt Rumel, student Uniw. J. P.

W PRYZMACIE.

Już od kilkunastu dni warszawskie wyższe uczelnie są zamknięte — dwadzieścia tysięcy młodzieży akademickiej, zgrupowanej w tych uczelniach, odbywa przymusowe ferje. Dobrze jest, jeżeli ktoś może się uczyć bez specjalnych strat w domu, jak słuchacze prawa, czy humanistyki — ale co ma zrobić n.p. słuchacz medycyny, któremu brak dostępu do laboratorjum przekreśla niejednokrotnie całą tegoroczną pracę doświadczalną — czy słuchacz politechniki pozbawiony kreślarni i tp. — gdy w wypadkach tych, niezaliczenie na czas odpowiednich ćwiczeń stanowi o utracie całego semestru.

Przyczyny? — Wszyscy o nich wiemy, — od paru lat stale i systemytycznie powtarza się ta sama historja.

Nie będę opisywał „zajść" czy „excesów", których byłem świadkiem (wystarczy, iż powołam się na artykuł kol. Poznańskiego, drukowany trzy lata temu w „N. W.") — dodam tylko, iż może innej wymowy nabiera fakt widziany w rzeczywistości, a co zatem idzie, przeżyty osobiście. Przejdę obecnie do podzielenia się refleksjami, które mnie, noszącemu

miano „byłego wychowanka Liceum Krzemienieckiego“, się nasunęły.

Nie chcę się wgłębiać w przyczyny, które pchają pewne ugrupowania młodzieży akademickiej do forsowania swych programów na terenach wyższych uczelni, gdyż bez wkroczenia na temat wybitnie polityczny tego zrobić nie można. Nie chcę również zatrzymywać się nad samą „barbarzyńskością“ metod stosowania tych programów nie licującą ani z powagą miejsca, ani z pojęciem podstawowych zasad współżycia gromady ludzkiej.

Pragnę jeno podkreślic, że stan rzeczy, jaki wytworzył się, to znaczy zamknięcie uczelni — jest w konsekwencjach szkodliwe nietylko dla przebiegu studjów dwudziestu tysięcy młodzieży, ale zaprzepaszcza i marnuje poprzez to kapitał społeczny w tą młodzież wkładany.

W blasku rzucanych haseł może się wydać błahostką, że ktoś straci rok czy pół roku studjów, bo mu zgniły preparaty w laboratorjum, lub że ktoś z powodów choćby nawet materjalnych, studjować lat osiem czy dziesięć nie może.

Chciałoby się w tem miejscu pod adresem młodzieży akademickiej rzucić pytanie—czy istnieje należyta świadomość odpowiedzialności wobec społeczeństwa. Fakty przeczą Bo w chwili, gdy życie współczesne wymaga codziennego, stałego wzmagania tempa pracy we wszystkich jego dziedzinach i na wszystkich odcinkach — na odcinku akademickim stwarza się w imię pewnych „interesów“ lukę.

Wśród młodzieży istnieje łatwość dobierania haseł i formułek w stosunku do spraw, których właściwego, życiowego oblicza się nie zna. Brak równocześnie tendencyj szukania wytycznych swego postępowanie drogą zdrowej i krytycznej analizy przejawów współczesnego życia, drogą rzeczywistego, nie gazetowego i książkowego zetknięcia się z życiem.

Operowanie teorjami prowadzi do frazesów mniej lub więcej „szumnych“, ale zawsze jednakowo bezwartościowych, realizacja zaś ich zużywa na „walki“ energię godną naprawdę lepszej sprawy. Na pytanie zaś, dlaczego młodzież wstępująca w progi wyższych uczelni z taką łatwością daje ponosić się pierwszym impulsom frazeologicznym, by wypełnić swoje ramy światopoglądowe — winna szukać odpowiedzi nietylko jak to się powszechnie słyszy — szkoła średnia, ale przedewszystkiem sama młodzież. Nie w teorjach — ale w urabianiu

w sobie krytycznej, samodzielnej, a z drugiej strony pełnej inicjatywy postawy wobec zagadnień przez życie współczesne wysuwanych znaleźć może młodzież wytyczne swego postępowania. Wówczas jest nadzieja, że jesienne przymusowe „ferje“ akademickie przejdą do historji, jako zjawisko nie mające się już kiedykolwiek powtórzyć.

Zygmunt Rumel student Uniw. J. P.

ZIEMIA.

Szary słup powietrza wznosi się od ziemi. Nozdrza łaskocze silny zapach czarnoziemu.

Na spalonej twarzy występują kropelki potu, tocząc się po czole, policzkami i brodzie, — spadają na rolę.

Kawki i wrony skaczą po świeżo zaoranych skibach ziemi.

Na łan wywożą duże worki ze zbożem. Ręka zanurza się w ziarno; ściska się w pięść; zatacza swobodnie półkole i rozrzuca złote ziarna po świeżej skibie.

W promieniach słońca płyną na ziemię strumienie ciepła i życiodajnych sił. Po zoranej roli stąpa kilku wieśniaków zasypując ją ziarnem, potem i modlitwą.

Daj życie! najczystsza ziemio, — pramatko wszystkiego.

Ziarno pada na rolę, wgłębia się w jej miękkość i ssie czarną krew potężnej rodzicielki.

Zasiany łan. ...

Wolnym krokiem, podpędzając parę bydląt idzie wyczerpany pracą wieśniak.

Ciało!.. Kości!.. Krew!.. Nie... Ciało, kości nie bolą, one dają możność odczuć wartość tej ziemi, ogrzanej i pielęgnowanej słońcem, zlanej potem i bolącej, jak żywy cierpiący człowiek.

Wszystko co czuje, garnie się do jej życiodajnego łona.

Ziemia dla wszystkich i dla wszystkiego

Ziemia największe szczęście, większe od złota, cenniejsze od najdroższych kamieni.

Ziemia, — sen miljonów.

Radość i szczęście wszystkich silnych i słabych.

Ziemia wszystko: złoto, piękność, młodość i wieczny nauczyciel mądrości.

To nasza ziemia.

Bojko Paweł, kurs I rolny.

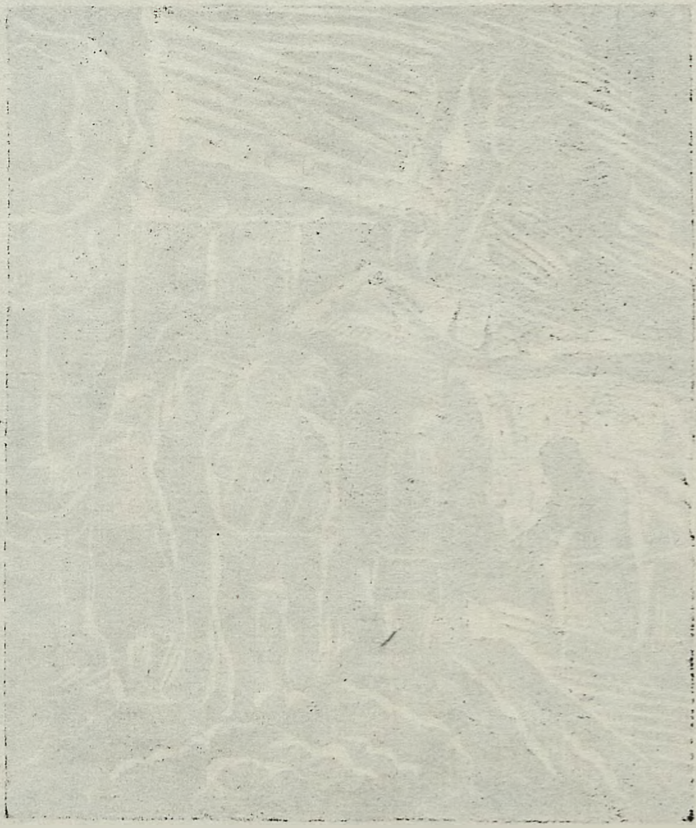

GRZECHY.

Rozmnożyły się grzechy, rozpełzły,
Wielkie grzyby robactwem stoczone.
Kłębowiskiem rozrosły się w piersiach
Aż pod gardło męczarnią zdławione.

Lękiem strasznym rozwarły się oczy,
Przerażeniem zastygły wieczystem
Na zbielałe wargi bezwolnie
Szept się wykradł: — Chryste... Chryste...

Br. Liżewski kurs V.

WSPOMNIENIE MOJE O Ś. P. JADWIDZE MONASTYRSKIEJ.

Jasnym rankiem jesiennym zeszłego roku wyruszyliśmy grupką osób do Antonowiec. Jechaliśmy trzęsącą furą na umoszczonem sianie z nogami ciepło wtulonemi w futro korzuchów.

Pamiętamy z pewnością wszyscy, że dzień był słoneczny, a równina daleka rozciągająca się na lewo od nas była brunatna zoranemi skibami ziemi, i poważna wieczorem roku pracowitego.

Prawą strona, skrywając część nieba biegły równolegle do drogi wzgòrza krzemienieckie. Ruda piana jesiennych drzew skupiała się u podnórzy wzgórz i oblepiała zbocza.

Słoneczność, cisza i godność tego dnia była wspólną naturze i ludziom.

W połowie drogi, naprzeciw naszemu pośpiechowi, wybiegła góra Stożek, dziecinnym jakby żartem wyskrobana z wału wzgórz. Na pagórkach w podnórza góry szare ciężkie kamienne krzyże zapomnianego cmentarzyska wrosłe w lichą murawę, starością wparte bokiem w ziemię sterczały ku górże grubem ramieniskiem, inne stały pochylone, lub leżały obrosłe mchem i trawą nakształt szarej bryły kamienia. Wśród tych kamienistych krzyży pasło się bydło, skubiąc rude ostatki trawy.

Za stożkiem rozciągała się wyżyna podolska płaska, równa i bujna polami zoranemi, gajami brzozowemi i zagainikami niskiej świerczyny. Jesienne słońce rozjaśniało delikatną zło-

cistość liści brzozowych i strzelistą białość ich pni.

Znojmożć i pracowitość biła z ziemi w jej szanownem zamyśleniu jesiennem.

Nastroje pór roku są wspólne przyrodzie i ludziom, mają swe źródło w treści przemian odbywających się w naturze.

Jesienną porą — wieczorem dnia znojnego — pełnym szacunku staje się spoczynek, gdy wsparłszy na rękach zmęczoną głową, radować się będziesz plonem dnia lub martwić nieudaną pracą karku zgiętego. Świąteczną ciszą spłynie ci na głowę wieczór dnia znojnego, — świąteczną jest chwila jesiennych dożynek, jesiennego podsumowania pracy całorocznej.

Takim też świętem był dzień symbolicznego składania plonu rocznego Panu Staroście i zakończenia konkursu rolniczego Koła Młodzieży Wiejskiej w Antonowcach.

Na dziedzińcu koło szkoły ustawione zostały stoły, okryte barwnemi ręcznikami wołyńskiemi, na nich poukładano piękne okazy całorocznej pracy konkursowiczów.

Dziewczęta w barwnych strojach, chłopcy niektórzy po ludowemu ubrani, inni w strojach, nie noszących innego charakteru, jak tylko niedzielnej elegancji wieśniaka, jaśnieli uśmiechem gościnności i radosnej dumy swego święta.

A wśród nich wszystkich — śp. Jadwiga Monastyrska. Tak wyraźnie Ją pamiętam, jak po przebytej chorobie, słaba jeszcze i zmęczona krzątała się wśród gromady, była wśród nich nie tylko w ich codziennej pracy, ale też w dniu ich święta.

Jej poświęcam to wspomnienie. Dzień ten świąteczny dla Antonowiec, był dla Niej wieczorem podsumowania prac całorocznych.

Koło młodzieży antonowieckiej, żyjące tak bujnem tętnem z Niej wzięło zapał do pracy, od Niej nauczyło się mądrej prawdy życia — pracy rzetelnej dla siebie i innych.

Dlatego też, gdy mówię o pracy koła antonowieckiego — o Niej mówię.

Gdyśmy słuchali, jak ze spokojem, odwagą i pewnością siebie dziewczęta i chłopcy odpowiadali na pytania instruktora rolnego, jak z głębokiem uczuciem i zrozumieniem mówili o gatunkach gleb, wymaganiach roślin i swoich pracach wokół roli — dziwiliśmy się temu. Dziwiliśmy się młodemu chłopcu, który z zapałem opowiadał o hodowli ziemniaków na swym

skromnym kawałku ziemi.

A jak dziwiliśmy się ogromnie i wstydzili, gdy p Starosta w rozmowie z jednym z członków koła na temat samorządu gminnego. spostrzegłszy jego głęboką znajomość konstrukcji państwa, zaczął go wypytywać o potrzeby państwa i myśl kierującą jego ustrojem i budową. Wtedy z uśmiechem zwrócił się do nas p. Kurator Nowicki wyrażając przypuszczenie, że niewielu znałazłoby się uczniów w 8-ej klasie, którzyby posiadali taką głęboką znajomość Polski Współczesnej.

Wówczas zrozumieliśmy, że jest jedna wielka prawda, — że nam uczącym się nie zawsze stawa gorącości duszy, która każe głęboko wnikać i myśleć serdecznie o konstrukcji życia państwowego, ktorego jednostką jesteśmy, a młody ten wieśniak umiał znaleźć w gorącej atmosferze Koła tę rację głęboką, ten żar serca, który kazał mu szukać wśród codziennej pracy zrozumienia praw rządzących wielką gromadą ludzką — państwem.

Dziwiliśmy się jeszcze wielkiej sprawności organizacyjnej młodzieży, rozsądkowi i powadze przemówienia jednego zczłonków koła; podziwialiśmy wreszcie smukłą powagę przodownicy składającej wieniec i swobodę tańca radosnego.

Dziwiliśmy się każdy sam w sobie po cichu, i tak z tego zdziwienia zaczęła w nas wyrastać jakaś myśl, jakieś nowe. inne spojrzenie na świat.

Gdyśmy wracali wieczorem na trzęsących furach, a było cicho i mroźnie. a księżyc przyświecał nam po lewej stronie jak wielka okrągła latarnia przywiązana do drabiny wozu, każdy z nas zagubiwszy siebie w głębokości korzucha stał się myślą owitą w ciepło.

Przebiegając wówczas myślą chwile przeżyte w Antonowcach zrozumiałam, że każdy człowiek, każde zgrupowanie posiada ukryte wartości. lecz trzeba dopiero specjalnej atmosfery, by każdy z osobna i wszyscy razem zechcieli usilnie, zapragnęli gorąco uczynić te wartości dominującemi w swem życiu prywatnem i wspólnem gromadnem. by potrafili stworzyć z nich życie rozwijające się w górniejszych płaszczyznach niż dotychczas.

Zmarła miała właśnie przedziwny dar stwarzania atmosfery skupienia i wysiłku stawania się coraz wartościowszym.

J. Sułkowska kl. VIII. Gimn.

Ś. P. ADAM BUJALSKI.

Pracowity trud życia Adama Bujalskiego zamknęła data jego śmierci...

Nas, którzy żyliśmy z nim, zadziwiała bezgraniczna dobroć, pogoda ducha tego naprawdę człowieka, i przekonywująca moc słowa, gdy coś objaśniał ze skarbnicy Swej wiedzy. Poświęcił się pracy i nam całkowicie, aż do zapomnienia o sobie.

Chodził zawsze mniej niż skromnie ubrany, ale wystarczyło spojrzeć w jego twarz, aby go pokochać. Twarz przez ciągłe obcowanie z przyrodą tak piękna w swej ujmującej szczerości, że hańbą było zatajenie coś przed nią.

Nigdy nic nie miał, bo dzielił się z drugimi. Pomagał materjalnie niezamożnym uczniom w ten sposób, że tylko oni i on o tem wiedzieli...

Był u nas w Białokrynicy profesorem ogrodnictwa — człowiekiem bardzo głębokim i w wielu kierunkach wykształconym.

Oprócz nas wspomagał wieś. Udzielał rad, wskazówek, kształcił. Pokochali go za to. Wrósł w ich życie, stał się ich cząstką... Trudno nam przyszło pogodzić się z tą myślą, że odszedł i że nikt nie zastąpi Go nam i tutejszemu społeczeństwu.

Daj mu Panie Boże szczęśliwość wiekuistą — nagrodę za człowiecze serce, czystość i pracę.

W y d a w c a: Zjednoczenie Organizacyj Młodzieży Liceum Krzemienieckiego pod opieką p. Kazimierza Groszyńskiego.

K o m i t e t r e d a k c y j n y: L. Baczyńska, M. Cisińska, L. Skrypnikówna, J. Sułkowska, J. Żułkosiówna, B. Liżewski.

Komitet redakcyjny Szkoły Rolniczej w Białokrynicy: J. Chrzanowski, E. Cichoń, W. Motyka.

Z a k o m i t e t r e d a k c y j n y: *J. Sułkowska*.

A d m i n i s t r a c j a: W. Kucharuk.

Adres redakcji i administracji: Krzemieniec, Liceum „Nasz Widnokrąg“.

C e n a p r e n u m e r a t y: Rocznie 2 zł., z przesyłką pocztową 2.40 zł. Cena pojedyńczego numeru 25 gr. z przesyłką pocztową 30 gr.

Tłoczono w drukarni W. Cwika.